



DUCH  
ZAGŁADY

GRAHAM MASTERTON

## Nowy Jork

Naomi przyprawiała rybę w kuchni, gdy z jadalni dobiegł złowieszczy zgrzyt. Odłożyła chochlę, nasłuchując uważnie. To było coś jak przesuwanie krzesła po podłodze. Ale przecież tam nie ma nikogo. Michael i Erwin poszli do synagogi; nie spodziewała się ich w domu wcześniej niż za godzinę.

Czekała dłuższą chwilę. Faszzerowana ryba dusiła się na wolnym ogniu; pokrywka na garnku z ziemniakami brzęczała delikatnie. Już nie usłyszała tego dźwięku. Dochodziła do niej jedynie przytłumiona muzyka rockowa z położonego nad nią mieszkania Bensonów i klaksony samochodów. Drzwi wejściowe były potrójnie zabezpieczone: przez łańcuch i dwie zasuwę. Było więc mało prawdopodobne, aby ktoś mógł się wedrzeć do domu niepostrzeżenie.

Pochyliła się lekko do przodu, by móc jednocześnie obserwować jadalnię. Przez uchylone do połowy drzwi mogła zobaczyć tylko ciemny, politurowany kredens z niezliczoną ilością fotografii oprawionych w ramki, kremowy koronkowy bieżnik, róg jadalnego stołu oraz oparcie jednego krzesła. Wirujące i pelgające światło świec zniekształcało cienie. Przez ułamek sekundy zdawało jej się, że dostrzegła jakiś obcy, ciemny, wrogi kształt. Zdrowy rozsądek mówił, że przecież tam nikogo nie ma, że to tylko gra światła i ciemności i przeciąg z otwartego okna.

Wyjęła z lodówki placek z truskawkami i położyła go na blacie, by się rozmroził. Potem zajrzała do piecyka, żeby sprawdzić, czy kurczak ładnie się rumieni. Przez chwilę nie widziała – para pokryła szkła jej okularów.

Zamykając piecyk, znów usłyszała ten obcy dźwięk. Tym razem było to lekkie skrzypnięcie.

Jeszcze raz otworzyła i zamknęła drzwiczki od piecyka, aby sprawdzić, czy to nie zawiasy. Wytarła ręce w fartuch i ostrożnie podeszła do drzwi jadalni. Z lustra zawieszzonego nad kredensem spoglądała na nią pulchna kobieta o bardzo białej karnacji. Miała typowo wschodnioeuropejskie rysy twarzy, głęboko osadzone oczy i włosy przewiązane jaskrawoczerwoną wstążką. Dwadzieścia dziewięć lat temu Naomi była uderzająco piękna. Nadal zachowała swoją dziewczęcość, która tak czarowała ich przyjaciół. Tyle że od prac domowych i wieloletniego sprzątanego biura miała zaczerwienione ręce, a chociaż nadal miała ładne, pełne piersi – nadmiar kartofli i śmietany zrobił z niej grubaskę. Dlatego nosiła gorset. Prawdopodobnie schudłaby, gdyby stosowała dietę. Jedzenie jednak, oprócz oglądania telewizji i śpiewu (uwielbiała chóry i opery), należało do jej największych przyjemności. Życie jest zbyt krótkie, żeby z nich rezygnować.

Podeszła do drzwi jadalni i pchnęła je lekko. Stała, nasłuchując.

– Kto tam? – zapytała stanowczym tonem. W tej samej chwili pomyślała, że było to głupie pytanie. Trudno oczekiwać, że włamywacz odpowie: „Proszę się nie denerwować. To tylko ja, włamywacz”.

Czekała jeszcze chwilę. Cienie migotały, na półce z książkami cichutko tykał zegar. Nagle poczuła, jakby tkwiła w tych półotwartych drzwiach przez całe wieki, jakby czekało tam na nią jej niewidzialne przeznaczenie. Jaki miałby być ten los – nie wiedziała i chyba nie bardzo chciałaby wiedzieć.

– Przecież wiem, że tam nikogo nie ma! – powiedziała głośno i otwierając szeroko drzwi, weszła do jadalni.

Miała rację. W pokoju nie było nikogo. Stał tylko stół z nakryciem dla trzech osób. Na czerwonym obrusie leżała biała koronkowa serwetka, stały błyszczące kryształowe kieliszki i wypolerowane kółka do serwetek. Na środku stołu kwiaty, starannie ułożone w porcelanowym wazonie przedstawiającym węgierską kwiciarkę prowadzącą wóz zaprzężony w osła.

Chwały były gotowe i przykryte płótnem. Puchar kiduszowy pełen wina. Zapaliła świece szabasowe i odmówiła modlitwę za rodzinę, za ich zdrowie, spokój i honor.

Obeszła stół dokoła, dotykając końcami palców kieliszków, sztućców, talerzy – jakby chciała się upewnić, że wszystko jest czyste i uświęcone. Wieczór szabasowy to jeden z tych nielicznych dni, kiedy kobieta zamienia się w kapłankę domowego ogniska, obdarzona mocą błogosławienia tych, których kocha.

Zajrzała również do salonu. Tam też nie było nikogo. Duże brązowe fotele stały puste. Telewizor był wyłączony. W całym pokoju unosił się zapach pasty do czyszczenia politory. Meble, może niezbyt drogie i podniszczone, należały jednak do kobiety dumnej ze swego domu.

A może to znów szczury? Od kiedy zamieszkali przy Siedemnastej Ulicy, plaga szczurów nawiedzała ich parę razy do roku. Za każdym razem po deratyzacji administrator zaklinał się, że niemożliwe, aby pojawiły się ponownie. Ona jednak wiedziała, że wrócą. Urodzona w Bronksie, wiedziała wszystko o szczurach. Potrafiły nawet przegryźć beton, jeżeli tylko miały dosyć czasu.

Wróciła do kuchni. Posypała rybę gałką muszkatołową i uznała, że danie jest już gotowe. Nie czuła jednak głodu. Kurczak wyglądał wspaniale, trzeba było tylko przygotować jeszcze purée z ziemniaków.

Nagle ponownie usłyszała ów dźwięk. Odgłosy szurania. Po chwili hałas wzmógł się – jakby ktoś ciągnął po podłodze krzesło, a potem stół. Dzwonienie kieliszków i zastawy. Otworzyła szufladę i wyjęła największy nóż do chleba. Stała sztywna i przerażona, nasłuchując.

Powinna zadzwonić pod dziewięćset jedenaście, pomyślała. Ktoś tu jednak musi być. Żaden szczur nie zrobiłby takiego hałasu. Szczury potrafią przegryźć beton, ale nie mogą przecież przesunąć mebli.

Przeszła przez kuchnię, trzymając przed sobą nóż na sztorc i starając się opanować drżenie ręki.

Dotarła do telefonu i zdjęła słuchawkę ze ściany. Nie spuszczać wzroku z drzwi jadalni, lewym kciukiem wyci-

snęła numer dziewięćset jedenaście i przyłożyła słuchawkę do ucha.

Cisza. Telefon nie działał.

Ponowiła próbę. W dalszym ciągu cisza. Ani odgłosu wybierania numeru, ani sygnału. Spróbowała raz jeszcze, po czym odwiesiła słuchawkę.

– Ktokolwiek tam jest – krzyknęła – niech wie, że mój mąż wraz z pięcioma kolegami zaraz wróci do domu! Na twoim miejscu wyniosłabym się natychmiast!

Żadnej odpowiedzi. Miała głęboką nadzieję, że ten ktoś posłuchał jej. Jeżeli jednak do domu miało przyjść sześcioro mężczyzn, to dlaczego stół jest nakryty tylko dla trojga?

– Ostrzegam cię! – zawołała. Czują, jakby miała oset w gardle. – Masz pięć sekund, by się wynieść. Potem wzywam policję, sąsiadów i niech Bóg ma cię w swojej opiece.

W tej samej chwili mieszkanie wypełniło się ogłuszającym trzaskiem zderzających się ze sobą sprzętów. Łomotały drzwi, pękały kieliszki i przewracały się krzesła. Wielki mahoniowy kredens, niegdyś własność jej babki, nagle z hałasem zaczął znikać jej z oczu, strząsając z siebie fotografie w ramkach, bibeloty i prawie całą jej kolekcję szklanych przycisków do papieru.

Była zbyt przerażona, żeby krzyczeć.

Ze strachu nie mogła wydobyć z siebie głosu. Z trudem łapiąc powietrze, bez tchu słuchała ostatnich dźwięków tłuczonego szkła i przytłumionej muzyki. Co to za włamywacz, który wchodzi do twojego domu i przestawia meble? W jaki sposób udało mu się ruszyć kredens? Ten kredens waży tonę. Kiedyś Michael i Erwin musieli prosić o pomoc Freddiego Bensona, żeby przesunąć go tylko o metr.

A może to nie żaden włamywacz? Może to dom osiada? Wszystkie te stare domy w Greenwich Village budowano na ogół w pośpiechu, w czasach kiedy Manhattan z dnia na dzień rozrastał się w dzielnicę willową – ulica za ulicą, plac za placem, jednego tygodnia jeszcze modne i eleganckie, następnego zaś już opuszczone. Rzecznik ostrzegał ich, że cała konstrukcja jest niepewna, „drewno częściowo zmurszałe, a dachówki dziurawe ze starości”.

Dom stał jednak na twardej skale, a na ścianach nie było żadnych pęknięć. Poza tym nie czuła, żeby się osuwał. Aby taki ciężar mógł się ześlizgnąć, podłoga musiałaby mieć co najmniej czterdzieści pięć stopni nachylenia.

Ostrożnie skierowała się w stronę jadalni, modląc się, żeby Michael i Erwin wrócili wcześniej do domu.

– Mam nóż – oznajmiła – i wiem, jak się nim posługiwać. Nie była pewna, czy nie popełniła poważnego błędu, informując włamywacza, że jest uzbrojona. On na pewno też miał nóż, a może nawet broń. Jej przyjaciółkę, Esterę Fishman, napastnik postrzelił w lewy policzek i mimo że od tej pory minęło sześć lat, wciąż miała głęboki uraz psychiczny i brzydkie blizny. Jej mowa była upiorną parodią Kaczora Donalda.

Na myśl o Esterze natychmiast chciała rzucić nóż i uciec do drzwi wejściowych. Lepiej wszystko stracić, niż skończyć jak Estera.

To był jednak wieczór szabasowy; to był jej dom, przygotowany na przyjęcie męża i szwagra. Nie była przeciętną kobietą, była przecież eszes chajl – kobietą „obdarzoną dzielnością i godnością”.

Otworzyła drzwi do jadalni. To, co zobaczyła, było niewiarygodne. Wszystkie meble zepchnięte pod przeciwległą ścianę. Krzesła, stół, kredens, półki na książki, nawet dywan był zmięty i pomarszczony. Wszystko, co znajdowało się na stole, tworzyło bezładny stos zwalony pod ścianę: serwetki, kieliszki, chały szabasowe, sól selerowa.

Najbardziej niepokojący był widok obrazów. Wisiały na ścianach krzywo, jakby zmienił się kierunek siły przyciągania. Jakaś moc za wszelką cenę chciała przeciągnąć je na sąsiednią ścianę: obraz olejny z Rosji, który dostała w testamencie od ciotki Katii, i ręcznie podbarwione zdjęcie stryjecznych pradziadków, po tym jak przybyli do Brooklynu w tysiąc osiemset osiemdziesiątym siódmym roku. A także rysunek wyspy Coney, który podarował jej Henry, gdy miał jedenaście lat. Jedynym obrazkiem, który pozostał na swoim miejscu, była oprawiona w ramki kompozycja z suszonych kwiatów.

Przerażona i oszołomiona zbliżyła się do mebli. Tego nie mógł zrobić żaden włamywacz. Dawno temu słyszała, że w noc przed szabasem diabelskie moce wystawiają czasem ludzi na próbę wiary w Boga, kusząc ich pracą, która jest zakazana. Mogą one na przykład podrzeć ubrania kobiet, aby zmusić je do szycia, lub przemienić chleb w kredę, żeby musiały piec go na nowo. Mogły też spowodować u dzieci choroby, aby rodzice musieli nieść je do lekarza.

W pokoju unosił się kwaśny odór, niczym nieprzypominający żadnego ze znanych jej zapachów. Najpierw pomyślała, że to zapach dymiących świec lub że zapalił się obrus. Meno-  
ra zgasła jednak widać, gdy stół się przesunął, i leżała przewrócona na koszyku z chlebem; żadna świeca się nie paliła.

Każdą z nich zapalała z myślą o dzieciach, za ich dusze, za duszę Michaela i Erwina.

– Boże, miej mnie w swojej opiece – wyszeptwała. Zupełnie nie wiedziała, co robić. Podeszła do olejnego obrazu, starając się przywrócić mu dawną pozycję, ale gdy go tylko dotknęła, natychmiast powrócił do poprzedniej, horyzontalnej pozycji. Spróbowała jeszcze raz; zjawisko powtórzyło się.

– Kto tu jest?! – krzyknęła, a jej głos zabrzmiał piskliwie, jakby ktoś przejechał mokrym palcem po szybie.

Weszła do salonu. Pusty, ciemny pokój był również prześląknięty tym ohydnyim kwaśnym zapachem.

– Kto tu jest?! – zawołała ponownie.

Obiegła całe mieszkanie. Zaczęła od sypialni, gdzie łóżka nakryte były różowymi pikowanymi kapami. Teraz łazienka. Z lustra spojrzała na nią przerażona twarz bez uśmiechu. Następnie zapasowy pokój, w którym trzymała nieużywaną, znieawidzoną maszynę dziewiarską. Wreszcie kryjówka Michaela – pełna książek, proporczyków i kijów golfowych.

– Kto tu jest? – wyszeptwała. Przesuwała ręce po ścianach, dotykając ich i naciskając, jak gdyby chciała się upewnić, że otacza ją realny, solidny i bezpieczny świat.

Wróciła do jadalni. Meble stały tam gdzie przedtem – stłoczone i zepchnięte pod jedną ścianę. Patrzyła na nie długo, wstrzymując oddech. Potem wzięła jedno z krzeseł i postawi-

ła na środku pokoju. Nie spuszczała z niego wzroku, niepewna, czy znowu jakaś siła nie zepchnie go pod ścianę, lecz ono stało tam, gdzie je postawiła. Wzięła drugie krzesło, przeniosła je na środek pokoju i postawiła koło pierwszego.

– Nikogo tutaj nie ma – powiedziała do siebie. – Tylko ja. To są moje meble i będą stały tam, gdzie ja będę chciała.

To moje meble. Nie cierpiała swojej wymowy. Pomimo uczęszczania na lekcje dykcji, nie potrafiła się jej pozbyć. Prawdopodobnie przyjaciele w ogóle tego nie zauważali, ale ją zawsze to peszyło. „Bila sobie mała dziewczynka z kręconymi loczkami”. Nie, lepiej teraz nic nie mówić. Ktoś może słuchać. Ktoś może się tutaj kryć. Jeżeli będzie głośno mówiła, nie usłyszy tego kogoś, nie usłyszy jego oddechu. Ten ktoś może się skradać za jej plecami, a ona nie będzie go słyszała.

Odwróciła się szybko. Nikogo nie było. Nie pozostawało nic innego, jak tylko przeciągnąć meble z powrotem na miejsce, oczywiście prócz kredensu. Tym będą musieli zająć się Michael i Erwin. Prawdopodobnie trzeba będzie jeszcze prosić o pomoc Freddiego Bensona.

Udało się jej przeciągnąć stół i wyprostować dywan. Dwa z jej najlepszych kieliszków miały odłamane nóżki. Osiołek z wazonu miał odtracone uszko, a najlepszy koronkowy obrus był zalany winem i wodą. Na podłodze leżał cały stos książek, które wypadły przez otwarte oszklone drzwi biblioteki. Były tam: *Exodus* Leona Urisa, *Ziemia obiecana* Mosesa Rischina oraz *Złota tradycja* Lucy S. Dawidowicz – książka tak bliska sercu Michaela jak Biblia. Uklękła i pozbierała je.

*Złota tradycja* była otwarta i leżała odwrócona grzbietem do góry. Zamykając ją, zauważyła, że obie stronicy, na których była otwarta, są niezadrukowane. Odwróciła następną kartkę, potem jeszcze jedną i jeszcze jedną. Przekartkowała szybko całą książkę. Wszystkie stronicy były puste.

Może to jest brulion, pomyślała. Wzięła do ręki *Exodus*. Był to jej własny stary egzemplarz. I w nim także wszystkie stronicy były czyste.

Gwałtownie rzuciła się na książki, sprawdzając jedną po drugiej. W żadnej nie znalazła ani jednego słowa. Kartki



były czyste, jakby nigdy niezadrukowane. Stała zdrętwiała, pocierając dłonie. Muszę być chora. Coś złego dzieje się mną. Albo jestem chora, albo śnię. Może zasnęłam podczas gotowania. Ostatecznie tyle było do zrobienia. Jeżeli pójdę do sypialni i położę się na chwilę, a potem otworzę oczy... może okazać się, że to był tylko sen.

Przekonana była, że to musiał być sen. Tylko we śnie mogła stłuc swoje najlepsze kieliszki. Tak samo nigdy nie odłamałaby uszka osiołkowi i nigdy nie pozwoliłaby też zgasnąć szabasowym świecom.

Postawiła menorę na stole, z kieszeni fartucha wyjęła zapalnik i zaczęła po kolei jedną po drugiej zapalać świece. Za każdym razem przymykała oczy, modląc się za Henry'ego, za Anne i za Leo, jak również za Michaela, Erwina i za siebie.

Kiedy zapaliła siódmą świecę, otworzyła oczy. Na ścianie tańczyły cienie. Jeden cień, ten z prawej strony, był nieruchomy – nie tańczył jak inne, nawet nie drżał jak cienie oparć foteli. Był to ciemny garbaty cień, przypominający zarys końskiej głowy lub bardzo zniekształconą postać kozła.

Wpatrywała się w niego przez dłuższą chwilę, modląc się, by się poruszył. Inne cienie migotały i wirowały, a ten pozostał nieruchomy. Tkwił w miejscu ciemny, jakby pochłonięty własnym ponurym bezruchem. Podniosła menorę, aby sprawdzić ruchy cieni. Przesunęła świecznik z jednej strony na drugą, a cienie przetoczyły się z lewa na prawo. Tylko ten pozostał tam, gdzie był; zgarbiony, nieruchomy, odmawiał podporządkowania się zasadom gry światła i cienia.

Postawiła menorę i podeszła do ściany. Położyła płasko dłoń na cieniu, z początku ostrożnie, później z większą śmiałością. To nie była plama na tapecie – to był na pewno cień. Jak to możliwe, że znajduje się zawsze w tym samym miejscu?

W tej chwili przy końcu ściany zauważyła drugi, mniejszy cień. Ten również się nie poruszał; wyglądem bardziej przypominał mężczyznę. Siedział odwrócony plecami, z głową opartą na rękach, zamyślony lub bardzo zmęczony.

Nagle garbaty cień się poruszył. Szybko i nerwowo odskoczyła od niego, wyciągając przed siebie dłoń obronnym

gestem. Czy to możliwe, żeby cień oderwał się od ściany? Serce waliło jej w piersiach jak młot, była pewna, że słycać je w całym budynku. Cień poruszył się, jakby przybladł, przesunął się i znowu się poruszył. Wciąż nie mogła sobie uświadomić, co to jest. Miał ogromną głowę, z której luźno zwisały kawały ciała. Widok ten przypominał jej horror *Człowiek słoń*, do obejrzenia którego zmusił ją kiedyś Michael. („To należy do kultury... Czy chcesz przez całe życie oglądać tylko programy dla gospodyń domowych?”).

Nagle garbaty cień gwałtownie rzucił się do przodu i spadł na głowę mniejszego cienia przy końcu ściany. Jak zahipnotyzowana patrzyła na ich walkę. Kilkakrotnie obejrzała się za siebie w poszukiwaniu przedmiotu, którym mogłaby w nie rzucić. Była jednak sama: tylko ona, jej meble i migocząca siedmioramienna menora.

Widok tej walki przypominał jej filmy detektywistyczne z lat pięćdziesiątych – cienie na zasłonach. Z tą jednak różnicą, że tu nie było zasłon, tylko solidny, gruby mur, a przez gruby mur nie można zobaczyć cieni.

Z przerażenia chciała uciec z pokoju, uciec z tego mieszkania, wdrzeć się do synagogi i błagać Michaela, żeby wrócił do domu. Tymczasem zgarbiony cień rozdzierał ten mniejszy na drobne kawałki, rozszarpywał na strzępy. Naomi czuła, że musi obserwować tę walkę do końca.

Nie słyszała krzyku. Nie słyszała nic prócz bicia własnego serca i dźwięków dobiegających z ulicy. W jadalni panowała cisza.

Kiedy zgarbiony cień oderwał to, co przypominało głowę mniejszego cienia, poczuła coś, była pewna, że coś poczuła. Krzyk tak czysty i niemy jak zamrażone okno – niemniej krzyk.

Garbaty cień zmienił kształt. W pierwszej chwili nie mogła zrozumieć, co się dzieje, bo cień był ciemny i dwuwymiarowy. Dopiero później pojęła, że ów cień obrócił się, ale nie był to taki zwyczajny obrót. Cień zwrócił się ku niej.

Zrobiła dwa, trzy kroki do tyłu. Potem jeszcze jeden. Pora uciekać! Wydawało się jej, że cień się rozrasta i zbliża ku niej.

Naomi nie słyszała żadnego dźwięku. Czowała jednak, że coś nadchodzi.

Już prawie dopadła drzwi, kiedy jedno z krzeseł z hałasem przesunęło się po podłodze i podcięło jej nogi. Upadła na bibliotekę. Po chwili następne krzesło przesunęło się, a za nim jeszcze jedno. Stół zakreślił się – jego nogi wydały skrzypiący, rozdzierający uszy dźwięk – i uderzył ją w prawą skroń, niemal pozbawiając przytomności. Za wszelką cenę starała się podnieść, lecz kolejne meble przywalały ją sobą, pchały coraz mocniej i coraz boleśniej przyciskały do ściany.

Usiłowała złapać oddech. Róg stołu wbił się jej w piersi z taką siłą, że czowała trzeszczące kości. Oparcie krzesła wklinoowało się w ramię.

– Na pomoc! – zawołała. – Niech ktoś mi pomoże!

Odpowiedzią były dźwięki gitary Freddiego Bensona i niski dudniący bas Bruce’a Springsteena.

Nie mogła oddychać. Czowała żebro coraz mocniej i mocniej uciskające płuco. W klatce piersiowej Naomi coś pękło, jakby ktoś przekłuł balonik. Poczowała gwałtowny ból i krzyknęła, a wraz z krzykiem z jej ust wytrysnęła fontanna krwi.

Czowała, że meble przygniatają ją coraz bardziej, jakby zwały się na nią całą siłą ciężenia.

Raz i drugi zawołała pomocy. Przypomniała sobie jednak, że sama nieraz słyszała w Village wołania kobiet o pomoc i nigdy nie reagowała na stłumione krzyki bólu i rozpacz. Cierpienie nieznanymi kobiet nic jej nie obchodziło.

Ciężki, kwaśny odór przypominał smród bijący z otwartego szamba. Odwróciła głowę i ku swojemu przerażeniu zobaczyła, jak zgarbiony cień sunie ku niej bezszelestnie; ogromnoglowy, ohydny – żywy koszmar, który mogą wydać z siebie tylko ciemności.

## ROZDZIAŁ 1

Nigdy nie mogłem zrozumieć, co takiego jest we mnie, co tak bardzo pociąga starsze panie. Już jako dziecko, a potem dorosły mężczyzna, zawsze byłem przedmiotem zainteresowania starszych pań. Miałem szczęście, że od tego całowania, cmokania i głaskania moja głowa nie zrobiła się płaska jak stół. Dawaly mi dziesiątaki na cukierki, a ja je składałem i wydawałem na wyścigi.

Zanim osiągnąłem dziewiąty rok życia, moją drugą naturą stało się przekonanie, że tak jak E równa się mc<sup>2</sup>, tak starsza pani równa się pieniądze. Byłem dla nich jak drugi Tomek Sawyer: biegałem na posyłki, strzygłem trawniki, malowałem płoty. W zamian (poza tym, że mi płaciły) nauczyły mnie grać na giełdzie, oszukiwać przy brydżu i naciągać wielkie firmy spożywcze, żeby przysyłały za darmo całe góry towarów. Nie myślcie, że starsze panie to takie niewinne stworzenia. Przez cały dzień tylko siedzą i kombinują, jak by tu zamieszać, i przeważnie im się udaje.

Jednak tylko Adelaide Bright zawdzięczam umiejętność najbardziej intratną ze wszystkich: przepowiadanie przyszłości – z fusów po herbacie, kryształowych kul, ze znaków zodiaku, z kart tarota... Doskonale znała wszystkie metody i nauczyła mnie, jak się nimi posługiwać.

Przede wszystkim uświadomiła mi, że wszystkie te kryształowe kule, fusy po herbacie i cała ta astrologia to tylko pewien rytuał, rodzaj sztuczki kuglarskiej, która ma zrobić wrażenie na kliencie. Bez wątpienia była najlepszą wróżką. Nie kryła

przy tym, że równie trafnie można przepowiedzieć przyszłość z gwiazd, jak przewidzieć, ile czasu wytrzyma nowa opona.

Przepowiadanie przyszłości to nie żadne czary, tylko zdrowy rozsądek. Musisz wnikliwie obserwować klienta, wyciągać logiczne wnioski i kłamać, dużo kłamać. No i dużo liczyć za seans. Im kosztowniejszy wróżbita, tym klienci bardziej mu wierzą. Ostatecznie, płacą przecież sto dolców za jakieś głupoty.

Adelaide nauczyła mnie oceniać ludzi po sposobie siedzenia, mówienia, po odruchach, a nawet po tym, jak się śmieją. Przede wszystkim jednak nauczyła mnie poznawać osobowość klienta po sposobie jego ubierania się. Dwie kobiety mogą nosić ten sam strój z dwóch różnych powodów. Jedna dlatego, że nie stać jej na lepszy, druga zaś dlatego, że jest wygodny i niedrogi.

– Zwracaj uwagę na buty – mawiała Adelaide. – Bardzo wiele można się dowiedzieć, obserwując czyjeś buty. Czy są nowe, czy brudne? A może są stare, lecz starannie zreperowane? Czy to sportowe buty firmy Nike, czy oksfordy?

Adelaide była naprawdę przesądna jedynie na punkcie tarota. Jej zdaniem tarot jest sztuką niedocenianą; nie wolno nim grać. Uważała, że w tarocie kryje się moc potężniejsza, niż ktokolwiek może sobie to wyobrazić. Według niej tarot jest oknem do krainy, którą każdy z nas nosi w sobie, ale nikt nigdy tam nie był, a zwłaszcza nie chciałby być. Zupełnie nie miałem pojęcia, co chciała przez to powiedzieć, więc uśmiechałem się i potakiwałem, słuchając jej wykładu o pracy detektywa.

Bo jeśli chodzi o analizę ludzkich charakterów, Adelaide była prawie jak Sherlock Holmes. Prawie zawsze trafiała też w sedno, przewidując, co się komu może zdarzyć. Adelaide przepowiedziała niemal co do miesiąca, że pani Świętochowska zlikwiduje swoje delikatesy przy Ditmas Avenue. Później dowiedziałem się, że siostrzeniec Adelaide, który pracował w wydziale planowania Safeway, dwa lata wcześniej poinformował ją, że jego firma zamierza zbudować ogromny supermarket na wolnej parceli w najbliższym sąsiedztwie delika-

tesów pani Świętochowskiej. Tak to jest z przepowiadaniem przyszłości. Wszystko polega na obserwacji, logice, pamięci i zdrowym rozsądku. Każdy może sam przepowiedzieć sobie przyszłość, jeśli jest naprawdę uczciwy wobec siebie. Ile jest jednak takich ludzi?

Adelaide też nie była. Wypalała co dzień półtorej paczki papierosów mentolowych Salem. Kiedy była sama, paliła nawet więcej. Twierdziła, że nie są szkodliwe, ponieważ jest w nich mięta. Poza tym uważała, że palenie dobrze robi jej na zatoki. Piętnastego marca tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego siódmego roku zaczęła skarżyć się na bóle w piersiach i brak oddechu. Zmarła na raka płuc jedenastego kwietnia w Kings County Hospital Center. Jediną osobą uczestniczącą w pogrzebie byłem ja. Co prawda nie padało, ale było gorąco i tak mgliście, że żałowałem, iż nie włożyłem płaszcza przeciwdeszczowego.

Do dzisiaj widzę jej twarz – wyraźnie jak na fotografii: siwe włosy upięte w węzeł, błyszczące zielone oczy, skórę miękką i pomarszczoną jak bibułka. Przypominała mi Katharine Hepburn. Tak jak ona mimo zaawansowanego wieku zachowała dziewczęcość, romantyzm i siłę. Zawsze częstowała mnie słonymi irysami i całowała na pożegnanie.

Gdziekolwiek jesteś, Adelaide – w niebie czy w piekle, czy w królestwie tarota – niech cię Bóg błogosławi.

Był upalny sierpniowy dzień. Wszystkie okna były szeroko otwarte. Co prawda miałem używany klimatyzator, jeszcze z napisem „Wypożyczalnia samochodów Avis”, który załatwiła mi moja ostatnia kochanka, zaprzyjaźniona z Murzynem, szefem gangu zwanym Szkarłatnym Rayne'em. Nie miałem nic przeciwko temu, że klimatyzator był kradziony. Gorzej, że rzadko kiedy działał. Jeżeli udało mi się go uruchomić, wydawał dźwięki przypominające orkiestrę meksykańską, która grała *La Cucarachę* w ostatnim pociągu do Brighton Beach.

Tego ranka szczególnie potrzebowałem koncentracji. Wkrótce miała przyjść jedna z moich najhojniejszych klientek – pani Johnowa F. Lavender. Pod względem przepowiedni była osobą bardzo wymagającą, ponieważ romansowała

z trzema mężczyznami naraz. Oczywiście za nic nie chciała, żeby jeden dowiedział się o drugim, a przede wszystkim, żeby dowiedział się pan John F. Lavender.

Mój gabinet i mieszkanie znajdowały się na ostatnim piętrze obskurnej i obdrapanej dwupiętrowej kamienicy przy Pięćdziesiątej Trzeciej Wschodniej. Poda mną był klub Molly Maguire, gdzie zbierali się świeżo przybyli do Nowego Jorku Irlandczycy, żeby napić się bimbrowa, pośpiewać o starym kraju i zatańczyć gigę, a przy okazji wybić sobie nawzajem parę zębów. Cała południowa strona Pięćdziesiątej Trzeciej pomiędzy Lexington a Trzecią Aleją była w opłakanym stanie. Dawno zamknięty okratowany sklep z upominkami na przeprosiny dla skłóconych par, apteka leków przecenionych Cohena, sex-shop pod nazwą Różowe Futerko oraz sklep Neda z tanimi alkoholami. Wszystkie te rudery sąsiadowały z nowym eleganckim placem położonym pod Citicorp Center, stanowiąc jakby przestrożę, że wszystko się starzeje i nawet najwspanialsze sny idą w zapomnienie. Udało mi się wynająć lokal za niecałe sto pięćdziesiąt dolarów tygodniowo, a to dlatego, że ci z Citicorp robili wszystko co w ich mocy, aby wyrzucić mnie i Neda, i Cohena, i Różowe Futerko, i Molly Maguire i zburzyć te odrapane rudery. Sądzę, że obawiali się, by ich wspaniały plac nie został skażony pewnego rodzaju „trądem architektonicznym”.

Mimo tandetności mojego gabinetu udało mi się stworzyć w nim pewną aurę tajemniczości. Mój przyjaciel Manny Goodman z Siódmej Alei sprzedał mi po cenie własnej trzy sztuki ciemnoniebieskiego aksamitu. Obiłem nim ściany i ozdobiłem gwiazdami, wyciętymi z folii do pieczenia indyka. Z poprzedniego gabinetu została mi kryształowa kula i stosy zakurzonych oprawnych w skórę ksiąg. Wyglądały jak starożytne hieroglify, pod warunkiem że nikt nie przyglądał się zbyt dokładnie tytułom: *Połowy dorsza w rejonie Nowej Fundlandii* czy *Podręcznik gry w lacrosse'a dla dziewcząt*.

Moim najnowszym nabytkiem było frenologiczne popiersie, na którego szczycie umieściłem świecę. Muszę przyznać, że diabelnie pasowało do gabinetu jasnowidza.

Pani Johnowa F. Lavender, z zapalem puszczając kłęby dymu w sufit, spoczywała na tapczanie nakrytym aksamitną narzutą.

– Odebrałam dziś rano okropne ostrzeżenie – powiedziała. Czulałam, jak lodowato zimne palce przesuwają się wzdłuż moich pleców.

Robiłem notatki. *Lodowate-palce-wędrujące-wzdłuż-pleców*. Kiedy zaczynałem swoją karierę jasnowidza, miałem zwyczaj noszenia kapelusza i świecących szat maga. Z czasem doszedłem do wniosku, że kobiety wolą, kiedy mam na sobie elegancki garnitur, dobrze wyczyszczone, błyszczące obuwie, goździk w butonierce i zachowuję się profesjonalnie, mniej jak czarodziej, a bardziej jak psychoanalityk. O wiele lepiej mi wtedy płacą.

Zanim opuściła mnie moja ostatnia kochanka, w przyływie dobrego humoru postarała się dla mnie o zaświadczenie z Instytutu Dyplomowanych Wróżbitów w Chewalla, w stanie Tennessee. Stwierdziło ono wyraźnie, że Harold P. Erskine jest wykwalifikowanym wróżbitą, uprawnionym do wykonywania swego zawodu na terenie całych Stanów Zjednoczonych, z wyłączeniem stanu Delaware. Nie wiem, dlaczego wyłączono akurat stan Delaware. Może to był jej wymysł, w ten sposób chciała mi dokuczyć, a może stan Delaware po prostu nie miał przyszłości.

– Jestem przekonana, że Mason coś podejrzewa – powiedziała pani Johnowa F. Lavender zaniepokojona.

– Dlaczego tak pani uważa?

– Kiedy w środę po południu wychodziłam z domu Christophera, zauważyłam w przejeżdżającej taksówce Masona. W dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach jestem pewna, że to był on. Patrzył w moją stronę i wydaje mi się, że mnie rozpoznał.

Na miejscu Masona (który był kochankiem numer dwa) natychmiast bym ją rozpoznał, bez żadnych wątpliwości. Dzisiaj pani Lavender miała swój „spokojniejszy” dzień. Ubrana była we wzorzystą jedwabną bluzkę, której deseń przypominał schizofreniczne malarstwo papug z Miami, jaskrawoczer-



wone pumpy i czerwone sandały z rzemyków na obcasach jak sztylety. Jasnoczerwone farbowane włosy były kunsztownie ułożone we fryzurę, która sprawiała wrażenie fajerwerku. Miała pięćdziesiąt dwa lata, trupio białą twarz, szmaragdowe powieki, podwójne sztuczne rzęsy i usta przypominające truskawkową babeczkę rozjechaną przez ciężarówkę.

– Lepiej przejdźmy do kart – powiedziałem. – Jestem pewien, że nie ma pani powodów do zmartwienia. Wczesny Strzelec znajduje się teraz w bardzo spokojnym okresie... żadnych niekorzystnych drgań. Może zjadła pani coś, co pani nie służy... wygląda mi na tortellini. Poza tym wszystko jest bardzo spokojne. Można by powiedzieć... podróż morska.

Zmiotłem okruszyny z rypсового obrusa i rozłożyłem karty. Po tym, co się wydarzyło z Karen Tandy, nigdy nie używałem kart tarota. Trzeba było słuchać rad Adelaide. Ale z tarotem jest jak z pęknięciem: dopóki nie sprawdzisz, nie możesz ocenić, na ile jest groźne.

Ostatnio używałem kart panny Lenormand. Był to komplet ładnych trzydziestu sześciu kart, zaprojektowanych przez nią na początku dziewiętnastego wieku. Przepowiedziała z nich wzlot i upadek cesarza Napoleona, tajemnice cesarzowej Józefiny i los wielu ich dworzan. Tak przynajmniej mówią różni naciągacze. A ona tylko wykonywała swój zawód, tak samo jak ja. Opierała się na wnikliwej obserwacji, logice i zdrowym rozsądku. Karty to tylko niezbędny rytuał. Inaczej niż w tarocie na kartach panny Lenormand były wypisane krótkie wierszyki, ułatwiające tłumaczenie znaczenia. Jak większość rekwizytów chiromanty, wierszyki były na tyle wieloznaczne, że bystry wróżbita (jak ja) mógł je interpretować w zależności od przedmiotu i okoliczności.

Pani Johnowa F. Lavender łąpczywie paliła papierosy, a ja rozkładałem karty: cztery rzędy po osiem i cztery karty w jednym rzędzie – wszystkie obrazkiem do dołu.

– Nie wiem, co zrobię, jeżeli Mason się dowie. On ma taki temperament! Nie odważę się spojrzeć mu w oczy! Z drugiej strony nie wyobrażam sobie życia bez niego. Ma taką ładną dupkę. Mało który mężczyzna ma ładny tyłek, zwłaszcza

w jego wieku. Większość wygląda tak, jakby nosili w gatkach trzy galony galarety.

Kartą pani Johnowej F. Lavender był numer dwudziesty dziewiąty, przedstawiający elegancką kobietę, w długiej zielonej sukni, z bukietem róż. Co do mnie, uważałem, że bardziej odpowiedni byłby numer czternasty, przedstawiający wiedźmę. Nie płacono mi jednak za złośliwości.

– Gotowe – oznajmiłem, kładąc ostatnią kartę. – To jest pani... z różami. A przed panią...

Wypuściła z ust kłęb dymu i usiadła.

– Co jest przede mną? To jest kosa. Co to znaczy?

– No cóż... Prawdę mówiąc, to nie jest dobry znak. Karta mówi... *Z kosą groźba skrada się. Strzeż się obcych – skrzywdzą cię.*

– Niebezpieczeństwo? Mam się strzec obcych? – warknęła pani Johnowa F. Lavender przez zaciśnięte zęby. – Zdawało mi się, że mówił pan, że moja wibracja jest spokojna. To wcale nie wygląda spokojnie!

– Chwileczkę – przerwałem jej. – Tu jest także powiedziane, że *gdy sąsiednią kartę przyjazną masz, ze wszystkim sobie radę dasz.*

– Nie podoba mi się to „strzeż się obcych” – zaprotestowała pani Lavender. – Wystarczy mi, że muszę strzec się ludzi, których znam!

– Niech się pani tak nie denerwuje. Po prawej stronie jest karta z kwiatem koniczyny. A to oznacza, że jeżeli nawet coś złego się przydarzy, wkrótce pani to pokona.

– Ale ja nie chcę niczego pokonywać! Przede wszystkim nie chcę, żeby mi się coś takiego przydarzyło!

– Oczywiście... spójrzmy teraz, co mamy po lewej. List. Leży na koronkowej serwecie. *Pachnący liścik z daleka wędruje... poprawę losu przyjaciel zwiastuje.* Tutaj, proszę spojrzeć. Wszystko wskazuje, że sprawy przybiorą dobry obrót. Karta z kosą jest tylko ostrzeżeniem. Należy wystrzegać się zasadzki.

Nie miałem najmniejszego zamiaru przeczytać jej ostatniego wiersza z karty przedstawiającej list. Tekst był następują-

cy: *Gdy ciemna chmura niebo pokryje, w smutku utoniesz po samą szyć.*

Pani Johnowa F. Lavender, nie wstając z tapczanu, sięgnęła po papierosy. Pochyliłem się i podałem jej ogień. Wypuściła przez nozdrza dwie smugi dymu.

– Co to może być za zasadzka? Jak pan sądzi?

– Albo Mason będzie panią śledził, albo już to zrobił. Tak myślę.

– To szczur! Ale ja go kocham.

– Należy zachować ostrożność. Tyle mówią karty. Proszę spojrzeć. Pod panią otwarta droga. Ale i tu jest ostrzeżenie: Ziemi się strzeż, co ucieka spod nóg. Odwiedzając Christophera musi pani zmienić trasę. Podobnie – odwiedzając Vince'a. Sądzę, że tak należy to rozumieć.

– Vance'a – poprawiła mnie. – Nie Vince, tylko Vance.

– Bardzo przepraszam... Czasami się gubię.

– Bardzo proszę. Ale nie miałam aż tylu mężczyzn w życiu.

– Nie to miałem na myśli. Przyzna pani jednak, że czterech to już jest coś.

Wypuściła kłąb dymu w kierunku jaskrawo pomalowanych paznokci u nóg.

– Czy wie pan, o czym marzę? – powiedziała. – Znaleźć się w łóżku z wszystkimi czterema naraz. Czy może pan sobie wyobrazić, jaka to byłaby przyjemność oddać się czterem mężczyznom jednocześnie?

Przyjrzałem się ponownie kartom.

– Obawiam się, że w najbliższej przyszłości nie należy oczekiwać tego rodzaju rozrywki. Choć nigdy nie wiadomo...

Zadzwoił telefon. Przeprosiłem ją, a gdy go odbierałem, pani Johnowa F. Lavender wypisywała czek za wizytę.

– Należy się jeszcze piętnaście dolarów za karty panny Lenormand. Przykro mi, ale taka jest cena. Wymagają interpretacji metapsychicznej.

– Oczywiście – powiedziała, poprawiając czek. Nagryzmoliła na nim swój podpis i pomachała, żeby wysechł.

– Halo! – usłyszałem zdenerwowany głos w słuchawce.

– Halo! Kto mówi?